

Heretyk

Na Cmentarzu Kalwaryjskim w Mińsku, w podziemiach opuszczonej i na wpół rozwalonej neogotyckiej kapliczki zadomowił się Heretyk. Należał ów Heretyk do tych nieszcześników i nieudaczników, którzy swe życie trwonili na kontaktach z lichymi diabełkami i aniołami o średnim poziomie intelektualnym. Najczęściej owi nieudacznicy gubili się w swych wędrówkach pomiędzy siłami światła i ciemności i nie znalazłszy wyjścia kończyli ziemski żywot samobójstwem. A niebo wcale nie śpieszyło się z przyjęciem umęczonej, ale grzesznej przecież duszy, i tak oto powstawała istota niepodobna ani do człowieka, ani do demona, właśnie Heretyk.

Kalwaryjski Heretyk miał wygląd wysokiego, lekko przygarbionego młodzieńca z zakrzywionym nosem, w okularach typu „rower” na niedowidzących oczach, z prostymi, długimi do pleców włosami, wielkimi dłońmi i stopami o rozmiarze co najmniej 44. Właśnie tak wyobrażano sobie wcześniej zachodnioeuropejskich hippisów, bezdomnych poszukiwaczy prawdy w tajemniczych krainach Wschodu.

Jak najprawdziwszy hippis, Kalwaryjski Heretyk miał na szyi skórzaną sakiewkę z papierosami. Regularnie co 2-3 minuty Heretyk kaszłał w kułak. Widać było, że strasznie go korci, aby zapalić, ale zdrowie mu na to nie pozwalało. Mniej więcej co trzy godziny sięgał jednak do sakiewki na piersi i wyjmował prościutkiego papierosa bez filtra, po czym drżącą ręką wkładał go w spierzchnięte usta. Z teźże kultowej sakiewki wyjmował zapaliki. Przystawiał ogień do koniuszka papierosa i chciwie wsysał się w niego. Wraz z pierwszym haustem dymu Heretyka opanowywał straszliwy atak kaszlu. Musiał wtedy kłaść się na boku i obydwoma rękami

uczepić się czegoś nieruchomego. Najczęściej chwycił się za nóżkę starej skórzanej kanapy, którą osiedlowe wyrostki przywlokły ze śmietnika do kaplicy w celach jak najbardziej oczywistych – aby ściągać na nią rozwiązałe dziewczuchy. Te jednakowoż, choć były bezwstydnie puszczalskie, uprawiania miłości na cmentarzu odmawiały. Wyrostki o kanapie zapomnieli, a Heretykowi, który zawisł pomiędzy niebem i ziemią, bardzo się ona przydawała, szczególnie w czasie napadów kaszlu. Chwytał się wówczas kurczowo za nóżkę i przyjmował embrionalną pozycję, w której płucne eksplozje nie były tak dokuczliwe i nie rozrywały trzewi. Po każdym takim napadzie Heretyk zarzekał się i przysięgał Bogu, że tytoniowym dymem w życiu się już nie zaciągnie. W swym postanowieniu i obietnicy danej Bogu trwał 2 może 3 godziny, po czym scena ze spazmami powtarzała się. Dopiero z nadejściem ciemności kaszel go opuszczał i wtedy Heretyk mógł się napalić do oporu, brał jednego papierosa za drugim. Niebieski dym siał się nad mogiłami i wił się pomiędzy srebrnymi krzyżami. Napaliwszy się do ćmiących mdłości, Heretyk wyruszał na polowanie.

Zazwyczaj nie musiał chodzić daleko i swój kryminalny proceder uprawiał koło cmentarza. Co prawda, po każdym przestępstwie upolować ofiarę było coraz trudniej. Rodzice nie wypuszczali swych dzieci, po kobiety wychodzili krewni, chłopcy odprowadzali dziewczęta do samych drzwi, po czym sami jak najszybciej wracali do domu i zamykali się na wszystkie spusty. W radiu i telewizji nieustannie nadawano ostrzeżenia, a w gazetach, nie wiadomo dlaczego, przedstawiano Heretyka jako mocno niezrównoważonego maniaka.

Ale bez względu na ilość obław urządzanych na Cmentarzu Kalwaryjskim przez milicję wspólnie z wydziałem KGB do walki z terroryzmem, kryjówki maniaka nie udało się

odnaleźć. Heretyk w duchu modlił się do Boga, aby funkcjonariusze nadal poszukiwali go nocą, kiedy kaszel ustępował, bo zginąć z ręki człowieka w mundurze bardzo, ale to bardzo nie chciał, zresztą jak każdy prawdziwy pacyfista. Tym bardziej, że Heretyk dobrze wiedział: jego ciało po samobójstwie stało się bardzo kruche i nie warte zaufania; każda najmniejsza nawet rana albo zadrapanie mogły doprowadzić je do pełnego rozpadu w proch. Przy tym wszystkim jednak ciało, kości i mięśnie zachowały dość siły, aby dopaść ofiary, chwycić ją za gardło i udusić. Tym bardziej, że połowa ludzi umierała nie od uduszenia, ale ze strachu.

Na efekt zaskoczenia Heretyk liczył także tym razem, gdy schowawszy się w ciemnej szczelinie pomiędzy kioskiem z gazetami i budką telefoniczną, obserwował przystanek trolejbusowy. Spośród wszystkich pasażerów – Heretyk w ten późny chłodny wieczór obejrzał ich sporo – na pohańbienie została wybrana młodzianka studentka uniwersytetu, która niefrasobliwie wracała z wykładów. Heretyk śledził ją od przystanku przez około 300 metrów i na pustym ciemnym placu za sklepem „Lakiery i farby” spadł na dziewczynę, jak drapieżny jastrząb spada na cnotliwą gołąbeczkę. Schwycił ją za gardło tak, że studentka nie była w stanie ani jęknąć, ani zaczerpnąć powietrza. Zaczęła się szamotać, szarpać, wrywać... Młode ciało walczyło o życie, jak tylko potrafiło. Jednak siły były nierówne. Oczy nieszczęśnicy wyszły z orbit. Język wysunął się przez rozwarłe usta, ręce zwisły jak sznury. Kolana ugięły się. Ciało osunęło się na ziemię. Zadowolony z łatwego zwycięstwa Heretyk usiadł na ciepłym jeszcze ciele dziewczyny, aby złapać oddech. Po odpoczynku z zapalem mistrza tortur powyłamywał dziewczęce stawy w łokciach i kolanach. Palce rąk zmiażdżył obcasami, a twarz roztlukł kamieniem na krwawą miazgę. Umordowawszy się tym zajęciem, Heretyk położył się obok

zmasakrowanego ciała i zrobiwszy szczyrykiem niewielką dziurkę w arterii na szyi, wstawił w nią słomkę koktajlową i począł wysysać gęstą ciepłą krew.

Podczas tej amoralnej czynności zaskoczył go drugi heretyk, lokator opuszczonej rozlewni win. Cichaczem podczołgał się do Kalwaryjskiego Heretyka i uderzył go kamieniem w głowę. Wyrznął go tym samym kamieniem, od uderzeń którego piękne oblicze dziewczyny przekształciło się w obrzydliwą, krwawą miazgę.

Heretyk z rozlewni win zabiłby Kalwaryjczyka, gdyby nie kołtun. Od ponad pół roku Kalwaryjski Heretyk nie mył się i nie czesał, w jego włosach pojawiła się starodawna białoruska przypadłość zwana kołtunem. Na samym ciemieniu wyrósł mu nieprzenikniony kłęb włosów. I w tenże kołtun trafił go heretyk z rozlewni. Rozpoczął się zacięty bój. Heretycy kąsali się, drapali, wykręcali sobie obojczyki, dusili się nawzajem... Zgiełk, wrzask, krzyk, skowyt, ryk niosły się po całym osiedlu. Ale przezorni ludzie nie spieszyli z pomocą, ktokolwiek by jej nie wzywał.

O wyniku potyczki zadecydował drobiazg – kaszel. Z początku Kalwaryjski Heretyk czuł tylko lekkie darcie w płucach, ale potem targnął nim kaszel tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Z uszu pociekła mu własna krew, a żołądek zwrócił krew zakatowanej dziewczyny. Heretyk z rozlewni, nie tracąc głowy, pobiegł pod sklep „Lakiery i farby” i błyskawicznie wrócił z pustym kanistrem po emalii nitro. Tym pojemnikiem zaczął dobijać nieudacznika. Rozbił w ten sposób Kalwaryjskiego Heretyka w śmierzdzący proch. Z kupy tej padliny wygrzebał skórzaną sakiewkę, schował ją do kieszeni, po czym pomknął grabić kaplicę, w której od ponad pół roku ukrywał się jego współplemieniec.

Aleksander Maksymiuk